

Sławomir Mrożek. Rozmowa przy kawie o flircie, teatrze i wolności.



Sławomir Mrożek, fot. materiały prasowe.

Anna Maria Mickiewicz (*Londyn*)

Co myślał o swej twórczości i bohaterach sam Mistrz? Oto krótka rozmowa, którą przeprowadziłam tuż po premierze *Letniego dnia* w jednym z londyńskich teatrów. Powinnam dodać, że Sławomir Mrożek niechętnie udzielał wywiadów. Jeżeli do nich dochodziło, stawał się powściągliwy i milczący... Dlatego na spotkanie z dramaturgiem podążałam z dużym zaciekawieniem i niepewnością zarazem... Było to swoiste wyzwanie.

Dzień był wyjątkowo ciepły, słoneczny i wiosenny. Umówiona byłam w godzinach przedpołudniowych w znanej londyńskiej dzielnicy Belgravia, przy Sloane Square. Tuż przy głównym skwerze, wśród licznych kafejek, widniał zabytkowy gmach słynnego teatru The Royal Court Theatre. Po latach został unowocześniony; już z oddali odbijała się w promieniach słońca czerwona płaskorzeźba, znajdująca się na pierwszym piętrze teatru - *notabene* wykonana przez polskiego artystę Antoniego Malinowskiego.

Sławomir Mrozek czekał na mnie w teatralnej kawiarni, usytuowanej w podziemiach. Panowała cisza, twórca był jakby osnuty półmrokiem... To chwile, kiedy teatry drzemią, wypoczywają po wieczornych wydarzeniach. Dramaturg ze spokojem popijał kawę. W takim nastroju, swoistej przychylności, przebiegała nasza rozmowa...

Anna Maria Mickiewicz:

Czy czuje się Pan czasami jak jeden z bohaterów *Letniego dnia*?

Sławomir Mrozek:

Nie, nigdy, dlatego że pisanie sztuki czy wierszy, powieści to nie jest nigdy autobiografia. Składa się może z elementów autobiograficznych, ale nie jest tak, by pisarz w powieści, czy w swych dziełach opisywał siebie.

Czy *Letni dzień* nie zawiera żadnych wątków autobiograficznych? A jest to sztuka, która w dużym stopniu poświęcona jest anatomii dojrzewania mężczyzny...

No, może częściowo jest..., ale w taki rozproszony sposób i nie ma potrzeby tego udowodniać.

Natomiast bohaterka dramatu to osoba bardzo inteligentna, przewrotna, bystra. Czy tak Pan widzi kobiety?

Należy pamiętać, że żaden utwór literacki nie jest pamiętnikiem ani świadectwem, ani wyznaniem wiary autora. Kobiety inteligentne istnieją - na szczęście. Zwracano już uwagę na to, że bohaterka tej sztuki jest kobietą ciekawą, nieprzeciętną. Dlatego też ta postać budzi sympatię zarówno widzowi, jak i aktorek, które były zawsze zainteresowane graniem tej roli.

Nasuwa się spostrzeżenie; otóż jeden z bohaterów *Pańskiej sztuki* przypomina bohatera *Fausta* Goethego - odnoszącego sukces, lecz nieodczuwającego życiowej satysfakcji. Czy jest to zbieżność przypadkowa?

Ja nie zajmowałem się określaniem bohatera, jego charakterem, życiorysem.

Budowałem sytuację dramatyczną na scenie, czyli taką, w której coś się dzieje i z której coś wynika. Dlatego potrzebne były mi dwie kontrastowe postacie. Jest to może bardzo schematyczne, ale skuteczne, bo pozwoliło mi napisać sztukę, która funkcjonuje dobrze na scenie. Nie jest to duża sztuka, ale dobre i to.

Czy angielska wersja teatralna *Letniego dnia* sprawiła Panu satysfakcję i zadowolenie?

Każde przedstawienie mojej sztuki sprawia, że czuję się dobrze... Nie dlatego, że jestem autorem, tylko dlatego, że po prostu lubię teatr. Jeżeli zdarza się, że jestem autorem danej sztuki, tym lepiej.

Czy wczorajszy spektakl miał jakieś szczególne cechy, a może jakieś braki?

Trudno powiedzieć. Jeżeli teatr jest poniżej pewnego poziomu technicznego, zawodowego, to zapewne tak jest. Ale nie w tym przypadku. Każde przedstawienie jest inne. W danym kraju, mieście, ta sama sztuka może mieć różne interpretacje. Nawet grana w tym samym teatrze - każdego wieczoru jest inna. Dlatego teatr jest żywy, przedstawienie jest faktem teatralnym, dlatego trudno jest rozmawiać o jego niedostatkach.

Pańska sztuka jest bliska mentalności brytyjskiej, dużo w niej logicznej gry słów z wieloma podtekstami; uderza mówienie o smutnych rzeczach z humorem.

To nie musi być tylko brytyjskie, to może też być czeskie. To swego rodzaju skłonność do niedopowiedzenia - *understatement*, które jest rzeczywiście również cechą brytyjską.

Jaki powinien być teatr - smutny czy wesoły?

Teatr powinien być taki, aby publiczność nie wyszła z sali po pierwszych pięciu minutach. Jak się to uda, to już jest dobrze. Dlatego uważam, że teatr powinien bawić publiczność.

W latach sześćdziesiątych Pańskie sztuki budziły zaciekawienie wśród publiczności polskiej. Jednak wówczas nie zawsze były rozumiane, sprawiły

wrażenie dziwnych.

Na pewno te same sztuki nie budzą już dzisiaj zdziwienia, ponieważ pojawiły się nowe sposoby przedstawiania dramatu, które są jeszcze bardziej dziwne. Nie sądzę, by na przykład *Szczęśliwe wydarzenie* prowokowało dzisiaj podobną reakcję, jak trzydzieści lat temu. Z drugiej strony, nie wiem, jak było wówczas, gdyż nie byłem obecny w kraju przez ponad trzydzieści lat. Dlatego też trudno mi powiedzieć.

Kontynuując wątek. Pańskie dramaty są bardzo przewrotne. To swoista zabawa słowem...

Dlaczego przewrotne?

Dlatego, że z jednej strony dialog opiera się na humorze, z drugiej jednak istnieje warstwa dramatyczna, zawierająca wiele prawd metafizycznych, bardzo smutnych.

Tego nie nazwałbym przewrotnością, tylko umiejętnością przyciągania i zatrzymywania widza. Jeżeli widz czuje się zaintrygowany, to nie wyjdzie z teatru, zanim sztuka się nie skończy, po drodze można mu powiedzieć jeszcze coś poważniejszego. Sposobem na widza jest zabawa.

Bardzo często życie przedstawia Pan jako formę więzienia...

To nie jest tylko w mojej twórczości. Na tym polega życie, że są ograniczenia. Gdyby ich nie było, to by nie było życia i nas też. Jednocześnie na to narzekamy, bo chcielibyśmy być absolutnie wolni. Natomiast absolutna wolność oznacza śmierć... Przystajemy podlegać prawu ciężenia, natychmiast się ulatniamy w kosmos i nas nie ma. Zarówno mnie nie ma, i pani nie ma. Wszystko się odrywa od ziemi i znika. Dlatego nie należy narzekać na jakiegokolwiek ograniczenia.

Londyn, marzec 2000 r.



Anna Maria Mickiewicz — poetka, eseistka współpracuje z redakcją londyńskiego „Pamiętnika Literackiego”. Założycielka portalu Fale Literackie/Literary Waves. Od lat mieszka i tworzy poza Polską - początkowo w Kalifornii, obecnie w Londynie. Publikuje w języku polskim i angielskim. Członkini Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie. Uehonorowana medalem „Gloria Artis”. Otrzymała tytuł „Autorki Roku 2013” Miasta Literatów. W latach osiemdziesiątych współzałożycielka i redaktorka niezależnego pisma studenckiego Wyrotowiec. Jej pierwszą publikacją książkową był tomik *Dziwanna*, wydany w niezależnej oficynie „Galeria Słowa”, 1984. Tomik został posze-rzony i wydany ponownie jako *Proscenium* (Lublin: Norbertinum, 2010). W 2000 roku w wydawnictwie Norbertinum opublikowała książkę *Ókruchy z okrągłego stołu* (Lublin: Norbertinum, 2000). W 2014 roku brytyjskie wydawnictwo Poetry Space opublikowało jej angielszczyzny tomik *London Manuscript*. W 2017 roku wydała tomik polsko-bułgarski *Lato w Seaford* oraz wraz z Danutą Błaszak książki: *Flying Between Words, On Life's Path, Kosmos Literatów* i *In Honour of the Artist* w serii wydawniczej *Contemporary Writers of Poland*. Artykuły, recenzje, krótkie opowiadania oraz wiersze jej autorstwa drukowane były w pismach ogólnopolskich i zagranicznych. Tłumacza współczesnej poezji na język polski.

Książka przedstawiła sylwetki pisarzy polskich między innymi: Ewy Lipskiej Tadeusza Różewicza, Sławomira Mrożka, którzy odwiedzili Londyn oraz pisarzy emigracyjnych: Krzysztofa Muszkowskiego, Krystyny Bednarczyk, Ireny Bączkowskiej.



DREAMSEE LITTLE CITY



ISBN 978-0-246-20095-4 9 0000
9 780244 200954



Wywiad ze Sławomirem Mrożkiem to fragment książki, Anny Marii Mickiewicz „Londyńskie bagaże literackie”, która właśnie się ukazała. Materiały poświęcone są przede wszystkim pisarzom polskim, którzy zaistnieli w polskiej i międzynarodowej przestrzeni kulturalnej, których autorka miała okazję spotkać poza granicami kraju. Oprócz Sławomira Mrożka należą do tego grona Ewa Lipska, Tadeusz Różewicz, Krzysztof Muszkowski, Krystyna Bednarczyk. To swoisty pamiętnik.

Książkę można kupić:

<http://www.lulu.com/shop/anna-maria-mickiewicz/londy%C5%84skie-baga%C5%BCe-literackie/paperback/product-24179769.html>

http://www.norbertinum.pl/ksiazka/717/Londy%C5%84skie-baga%C5%BCe-literackie?fbclid=IwAR2J-0grjcLD6LpS_6E5xz8RRBEouKQ06_sGLJjboOt4DigmGgAJmn7atvM



Anna Maria Mickiewicz z książką

Wybory Miss Polonia w powojennym Londynie



Irena Anders, z domu Jarosewycz, pseudonim artystyczny Renata Bogdańska, 1960 r., fot. z archiwum Bohdana Nahajło, źródło: day.kyiv.ua

Florian Śmieja

Zanim zacząłem swój sześcioletni staż jako wykładowca literatury hiszpańskiej na uniwersytecie angielskim w Nottingham (1963-1969), odwiedzając to miasto w środkowej Anglii zostałem niespodziewanie dokooptowany do grona jury, które miało wybrać Miss Polonię na imprezie organizowanej przez szereg lat przez "Dziennik

Polski i Dziennik Żołnierza” w Londynie. Zapamiętałem, że oprócz mnie wybierała jeszcze jakaś utytułowana angielska Lady, pani Generałowa Andersowa, czyli Renata Bogdańska oraz tajemniczy Slavomir Rawicz. Nie spisaliśmy się kolektywnie, bo wybraliśmy kandydatkę, która się okazała przyjezdną z Warszawy Mrs.

Choć znamy dziś daty Rawicza (1915-2004), to wiele wątpliwości związanych z jego życiorysem i słynną książką pozostało. Poznany w Anglii dziennikarz Ronald Downing wysłuchawszy opowieści o sensacyjnych losach Rawicza, napisał książkę “The Long Walk” czyli “Długi marsz”, która wyszła w 1956 roku stając się rewelacją. Przełożono ją na 25 języków.

Rawicz twierdził, że urodził się pod Pińskiem jako syn polskiego właściciela majątku i matki, Rosjanki. W 1939 roku w randze oficera kawalerii polskiej aresztowali go Sowieci i skazali na 25 lat obozu w Irkucku. Stamtąd z sześciorgiem towarzyszy uciekł on do Indii i po dziewięciu miesiącach, wyczerpana, pozostała przy życiu czwórka zbiegów dotarła do Nepalu. Potem Rawicz dostał się do Anglii, trzech pozostałych przepadło bez śladu.

Przyjęta z entuzjazmem książka wywołała wiele kontrowersji, z czasem zakwestionowano jej różne szczegóły, a potem autentyczność, w końcu Brytyjczycy przenieśli ją z działu autobiografii do działu fikcji.

Generałową Andersową miałem spotkać kilkadziesiąt lat później w Opolu. Przybyła wraz z ostatnim prezydentem rządu na emigracji, Ryszardem Kaczorowskim. Na uniwersytet przyszły tłumy głównie, by zobaczyć legendarną Renatę Bogdańską, która ciekawskich nie zawiodła, bo jej aparycja zrobiła wielkie wrażenie.

Krótkie wspomnienia i obserwacje Floriana Śmieji drukowane były w odcinkach jako „Migawki” w „Liście oceanicznym” – dodatku do „Gazety” w Toronto, pod red. Joanny Sokołowskiej-Gwizdka, w latach 2003-2008, a potem znalazły się w zbiorze: Florian Śmieja, „Ślady światła”, SILCAN HOUSE, Mississauga 2013, opracowanie, redakcja, skład, projekt okładki Joanna Sokołowska-Gwizdka.

Nagrody Literackie Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie.



Libor Martinek, fot. Wikimedia Commons.

W 67. roku istnienia Nagrody Literackiej Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie z siedzibą w Londynie, jury (w składzie: przewodniczący Andrzej Krzeczunowicz – Warszawa; ks. prof. Janusz Ihnatowicz – Houston, TX, USA; ks. prof. Bonifacy Miązek – Wiedeń; dr Adam Wierciński – Opole; dr Aleksandra Ziółkowska-Boehm – Wilmington, DE, USA) uprzejmie zawiadamia o przyznaniu następujących nagród za rok 2018:

Nagrodę za upowszechnianie kultury i literatury polskiej przez pisarza mieszkającego poza Polską otrzymuje prof. Libor Martinek.

Czeski polonista, historyk literatury, krytyk literacki, poeta, wykładowca literatury czeskiej na Śląskim Uniwersytecie w Opawie i we Wrocławiu, założyciel Pracowni Komparatystyki Literackiej, tłumacz z polskiego, angielskiego i ukraińskiego. Doktorat z literatury czeskiej (2000), doktorat z literatury polskiej (2005). Autor 15 książek naukowych w języku czeskim i polskim oraz ponad 120 rozpraw, esejów i artykułów o tematyce polskiej w czeskich i polskich pismach fachowych. Pisał między innymi o Sarbiewskim, Mickiewiczu, Morcinku, Gałczyńskim, Różewiczu, Szymborskiej, Lipskiej. W recenzji wydawniczej monografii *Henryk Jasiczek* prof. Bogusław Bakula (Poznań) napisał:

Libor Martinek jest obecnie jednym z najlepszych znawców literatury i kultury polskiej w Czechach, a także czesko-polskich relacji kulturalnych, w tym zwłaszcza literackich. Zapomniany w Polsce Henryk Jasiczek, zresztą nie on jeden, jeśli spojrzeć na stan wiedzy literaturoznawczej dotyczącej chociażby twórczości Władysława Sikory, Wilhelma Przeczka, Gustawa Przeczka, Jana Pyszki i wielu innych pisarzy regionu, był postacią o wymiarze historycznym i dramatycznym również.

Libor Martinek to to przede wszystkim badacz ukształtowanych w procesach historycznych odrębności Ziemi Cieszyńskiej, badacz rzetelny, nieustrudzenie podejmujący etos polskich nawarstwień, aby ocalić w tym regionie od zapomnienia te wartości, które są przecież wspólnym dobrem kultury.



Jacek Hajduk, fot. Instytut Filologii Klasycznej Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Nagroda im. Władysław Majewskiej za najlepszą książkę roku 2017 dotyczącą literatury emigracyjnej przypadła zbiorowi esejów *W rejony mroku* Jacka Hajduka (Wojnowice 2017). Składa się na nią 30 szkiców literackich powiązanych w całość czytanych na wiele sposobów jednym utworem *Dziennikiem pisanym nocą* Gustawa Herlinga-Grudzińskiego. Autor próbuje dowieść, a czyni to z dużą znajomością rzeczy, że literatura polska, ani krajowa ani emigracyjna, nie wydała

utworu który by dorównał Herlinga-Grudzińskiego „portretowi epoki z autoportretem w rogu wielkiego obrazu” albo go przewyższył.

Z przekonaniem autora można, co oczywiste, dyskutować, ale jego podróże w czasie, znajomość literatury nie tylko polskiej, ale włoskiej i rosyjskiej imponują czytelnikowi. A z jaką swobodą porusza się Hajduk po starożytnym Rzymie i Rzymie współczesnym. Czytelnik nie zawsze musi się zgadzać z wywodami autora, ale zachowuje podziw i wdzięczność za tyle odczytań znakomitego piarstwa Herlinga-Grudzińskiego, i czasem powtarza za Hajdukiem że

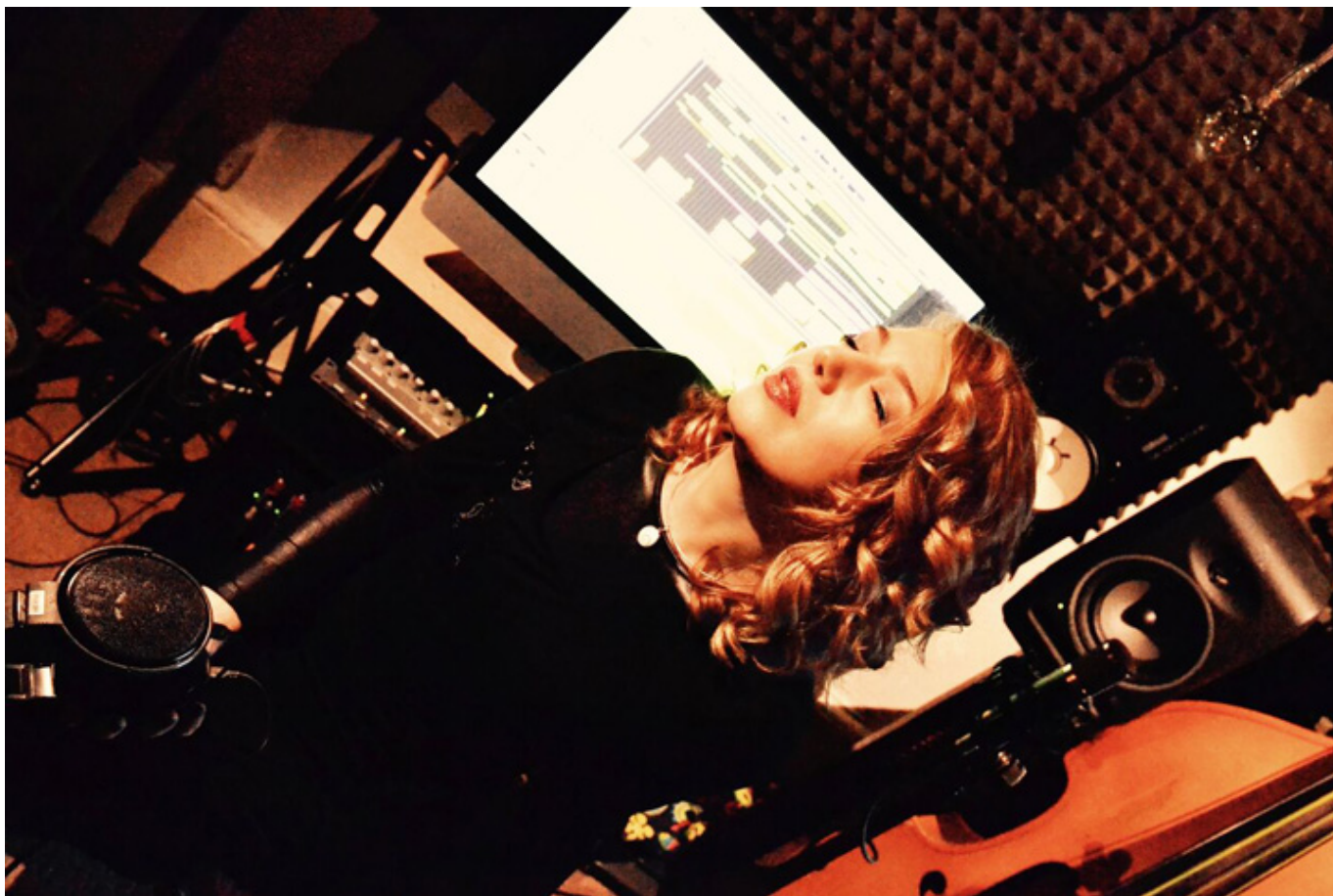
sile jego pióra zawdzięczamy wielowymiarowy i wielopoziomowy, wyrazisty i zniuansowany obraz człowieka »wieku ideologii«. A nie można zapominać, że

„Dziennik pisany nocą” jest przecież tylko jedną z wielu odsłon Herlingowego Dzieła.

Jacek Hajduk jest filologiem klasycznym, tłumaczem, eseistą, prozaikiem, pracownikiem naukowym Uniwersytetu Jagiellońskiego. Napisał wiele szkiców naukowych i literackich oraz kilka książek, m.in. *Pliniusz Młodszy* (2012), *Fantazje mimowolnego podróżnika* (2016). Mieszka w Krakowie.

Wręczenie nagród odbędzie się w maju 2019 w Warszawie podczas 10. WTK.

Aspaklaria - najnowsza płyta Jarmili Xymeny Górnej z Londynu



Jarmila Xymena Górna przy pracy.

Jarmila Xymena Górna

Artystka urodziła się w rodzinie muzyków z Łodzi. Jej matka, śpiewaczka operowa w Teatrze Wielkim w Łodzi, występowała na scenie zaledwie kilka godzin przed narodzinami córki. Choć sama Jarmila nie jest śpiewaczką operową, artystka uważa, że pochodzące jeszcze sprzed narodzin doświadczenie - otoczenie wielowarstwowych harmonii chóralnego śpiewu, wywarło duży wpływ na jej twórczość.

Jarmila zaczęła komponować w wieku 5 lat. W wieku 7 lat poszła do szkoły muzycznej. Przez dwanaście lat przygotowywała się do zawodu pianistki klasycznej, a jej dodatkowym instrumentem była gitara.

Ukończyła Akademię Muzyczną im. Karola Szymanowskiego w Katowicach. Podczas studiów założyła zespół *Sovay*, którego repertuarem były tradycyjne angielskie ballady folkowe z XVIII i XIX w, jak również amerykańskie i brytyjskie piosenki

folkowe. Zespół występował w całej Polsce, a Telewizja Polska nakręciła o nim film dokumentalny. Jarmilę okrzyknięto wówczas „Królową Folku” (Polskie Radio Trójka). Działała również aktywnie na polskiej scenie rockowej jako piosenkarka i klawiszowiec w kilku znanych zespołach rockowych, takich, jak *T.Love*. Zaśpiewała także ścieżkę dźwiękową do filmu Michała Lorenza „Zakład”. Oprócz tego, badała muzykę ludową Anglii i krajów dawnej Jugosławii.



Jarmila Xymena Górna przy pracy.

W 1990 r. Jarmila przyjechała do Londynu, gdzie, zarzucając wątki stylistyczne łączące ją z jej muzyczną przeszłością, mogła swobodnie odkrywać prawdziwie swoje brzmienie, „własny głos” – zarówno w sensie dosłownym, jak i metaforycznym. Była zdecydowana usunąć z niego wszelkie naleciałości *jazzowe*, *soulowe*, a nawet *folkowe*. Rozpoczął się wówczas okres eksperymentowania z głosem i fortepianem.

Nowy styl Jarmili rozwinął się w pełni w *Trolley Stop* we wschodnim Londynie, gdzie przez dwa lata prowadziła swoje autorskie koncerty *Trance-Magic Piano Sessions*, z

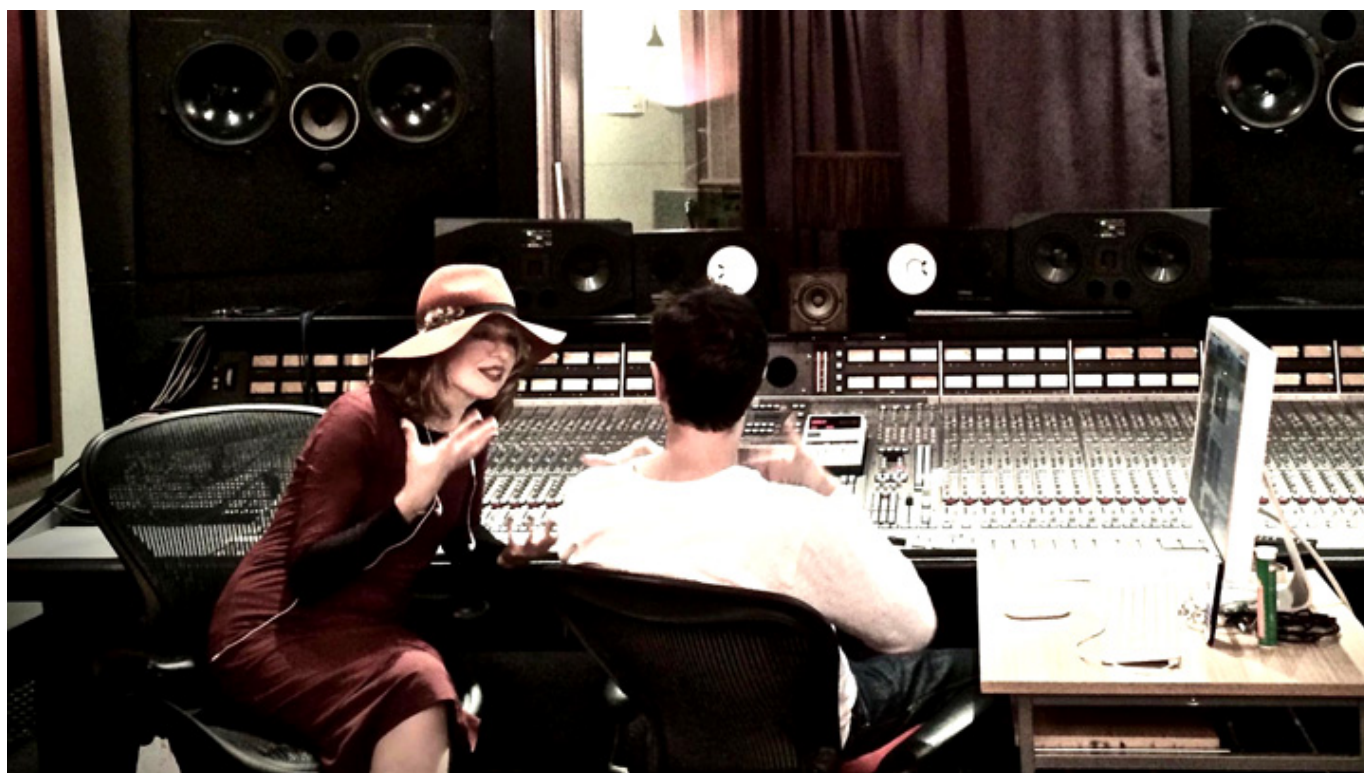
częstotliwością raz na dwa tygodnie. Owe wieczory fortepianowo - wokalne improwizacji przeistoczyły się w występy multimedialne. Publiczność przychodziła, by zobaczyć, jak współpracuje z artystami plastykami, prezentującymi swoje slajdy i filmy wideo nagrane kamerą Super 8, jak również z tancerzami i innymi improwizującymi muzykami. Sesje *Trance-Magic Piano Sessions* nabrały rangi wieczorów artystycznej awangardy. („Niezwykle popularnych” - jak podał „Avant Magazine”).

Owocem tych muzycznych poszukiwań był album „Hashgachah”, wydany przez *Jarmila Music* w 2004 roku, na którym Jarmila łączy swe uzdolnienia kompozytorki, wokalistki, pianistki oraz producentki. W płomiennym, niewerbalnym śpiewie wykorzystuje swą szeroką skalę głosu, a wytrawna gra fortepianowa stanowi trzon dla wznoszących się anielskich chórów, wokół których Jarmila buduje subtelną aranżację, złożoną z dźwięków kontrabas, perkusji, instrumentów dętych i oud.

Frapujące występy Jarmili Górnej oglądać było można w wielu miejscach w Londynie, na przykład w ICA, Jazz Cafe, Vortex, Union Chapel, The Spitz, Ray’s Jazz i w Cargo. Występowała w Katanii na Sycylii w 2005 r., podczas festiwalu Big Big World w Szkocji w tym samym roku oraz podczas festiwalu Women in Tune w Walii w roku 2006.



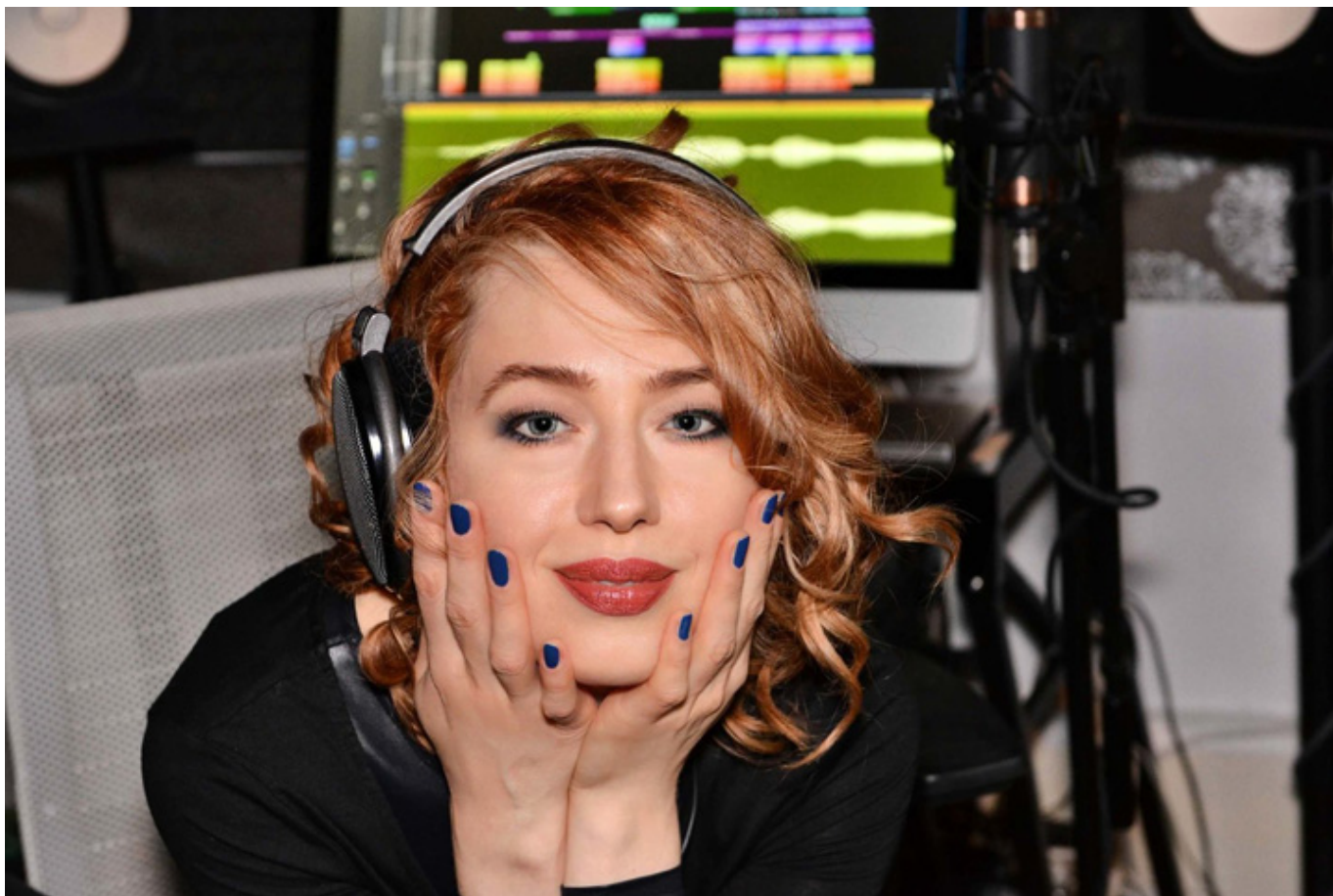
Jarmila Xymena Górna przy pracy.



Jarmila Xymena Górna przy pracy.

Jarmila aktywnie działa również jako kompozytorka teatralna i filmowa. Wśród jej osiągnięć znalazła się aranżacja ścieżki dźwiękowej do przedstawienia „Drakula” Brama Stokera wystawionego przez *Brunton Theatre Company* („Wspaniała aranżacja Górnej oddaje ducha złamanej Europy Wschodniej” - „Scotland on Sunday”), a także wkład w widowisko multimedialne „The Singularity” w teatrze Albany w ramach wydarzenia *London International Mime Festival* w roku 1998. Współpracowała przy komponowaniu i wykonaniu muzyki do filmu dokumentalnego „Hidden Children” Sheldona Lazarusa (2001). Jej śpiew znalazł się również na ścieżce dźwiękowej do włoskiego filmu fabularnego „Luna Rossa” z 2001 roku. Jarmila wykładała także gościnnie tzw. „rozszerzone techniki wokalne” na Uniwersytecie w Cambridge. Jej dorobek był prezentowany przez stacje radiowe i telewizyjne - brytyjską BBC, a także stacje polskie, hiszpańskie i macedońskie. Udzielała im również wywiadów. W 2004 roku została nominowana do przyznawanych przez brytyjską stację radiową nagród BBC Radio 3 *World Music Awards* w kategorii Newcomer.

Jarmila angażuje się również w pracę prywatnego nauczyciela gry na fortepianie, gitarze i darbuce oraz kompozycji, śpiewu i aranżacji wśród społeczności żydowskiej w Stamford Hill w Północnym Londynie. Opracowała niezwykłą i bardzo skuteczną metodę nauczania muzyki bez zastosowania notacji - *Gorna Method*, która koncentruje się na wzmocnieniu twórczych uzdolnień uczniów. (Sama siebie nazywa „facylitorem muzycznym”, dającym dziewczętom klucz do świata muzykowania, gdzie później mogą same się rozwijać, podejmując własne muzyczne decyzje”. - „Jewish Tribune”). W 2006 i 2007 roku wyprodukowała dwa widowiska muzyczne, które zyskały sobie popularność - „The Musical Malachim”, w których wystąpił zespół złożony z jej studentek („...niezwykle przyjemne w odbiorze” - „Jewish Tribune”).



Jarmila Xymena Górna przy pracy.

Już w wieku 12 lat Jarmila była w stanie połączyć ze sobą kilka urządzeń w taki sposób, by stworzyć prototyp małego studia nagraniowego. Dziś jej marzenia są już rzeczywistością! Stworzyła własne studio nagrań, gdzie pracuje jako kompozytorka, autorka piosenek, producentka i aranżerka muzyki. Obecnie Jarmila nagrała i wyprodukowała swój nowy album „Aspaklaria”, wydany przez *Jarmila Music* w 2018 r. Dźwięk miksuje na nim inżynier-dźwiękowiec Matt Lawrence, laureat nagrody Grammy, zmasterowany zaś został przez Stuarta Hawkesa, wielokrotnie nominowanego do Grammy. Do jego powstania przyczynili się również producent „Get to Know” Larry Holcombe oraz David Farren. David nie tylko był współzałożycielem i członkiem słynnej sekcji rytmicznej legendarnego brytyjskiego zespołu *Bad Manners*, lecz jest również znakomitym malarzem i ilustratorem, niejednokrotnie współpracującym z Jarmilą (oprawa plastyczna jej albumów i wielu projektów graficznych).

W najnowszym albumie Jarmila odchodzi od niewerbalności pierwszego albumu „Hashgachah”. Wykroczyła poza strefę bezpieczeństwa i luksusu, tworzoną przez

śpiew bez słów. W tym albumie Jarmila nadaje obłokom bardziej konkretną formę.

Aspaklaria

W swoim pierwszym albumie „Hashgachah”, określanym jako „wyrafinowana wizja sięgająca dna duszy”, Jarmila Górna przesuwiała coraz dalej swoje muzyczne granice. Jej wykraczający poza ramy wszelkich muzycznych trendów album wywarł tak wielkie wrażenie na krytyce, że nominowano go do przyznawanych przez brytyjską stację radiową BBC Radio 3 nagród World Music Awards. Pisząc o „Hashgachah”, recenzenci z trudem znajdowali słowa by opisać coś, czego opisać się nie da – całkiem adekwatnie, biorąc pod uwagę, że album składał się z pieśni bez słów.

Kate Bush, Chick Corea, Ennio Morricone, „cały chór bułgarski”, „The Beach Girls” – to tylko niektóre z porównań, jakie wówczas się pojawiły.

Nowy album Górnej nosi finezyjny tytuł „Aspaklaria” (co po aramejsku oznacza „czystą soczewkę”). Tym razem, duchowe poszukiwania w sferze hebrajskiego mistycyzmu stały się inspiracją do powstania autorskich tekstów:

Moje piosenki z albumu „Aspaklaria” to pieśni o miłości i lęku, o rozpadzie i rekonstrukcji własnego „ja”, o zadawaniu pytań i – być może – uzyskiwaniu odpowiedzi, o nawiązywaniu i utrzymywaniu łączności z Absolutem, o sięganiu nieba i zmierzaniu ku gwiazdom – mówi artystka.

Pragnąc wykroczyć poza strefę bezpieczeństwa i luksusu jaką stwarza abstrakcyjność, Jarmila nadaje konkretną formę obłokom.

Wszystkie elementy, które tak podobały się krytykom w debiutanckim albumie i tutaj są obecne. Magia jej nieziemskiego głosu i emocjonalny sposób, w jaki Jarmila go używa, w połączeniu ze współczesnymi beatami, dźwiękami generowanymi elektronicznie, kołyszącymi groovami oraz orzeźwiająco niespodziewaną strukturą piosenki, wywołuje wielkie wrażenie na odbiorcy.



Jarmila Xymena Górna przy pracy.

Album „Aspaklaria” jest dziełem niemal w całości stworzonym - napisanym, wykonanym, wyprodukowanym i opracowanym w zakresie inżynierii dźwiękowej - przez jedną osobę - Jarmile Xymenę Górną. Wspomaga ją niezrównany David Farren, współzałożyciel i były członek legendy brytyjskiej muzyki ska, zespołu Bad Manners. Farren jest zarówno autorem plastycznej oprawy albumu, jak i przydaje czarującą paletę dźwięków swej gitary elektrycznej. Muzyka została nagrana w studiu Jarmili, w którego założeniu wspomagał artystkę jej stary przyjaciel i mentor Philip Bagenal z Eastcote Studios („21” Adele). Miksował ją dźwiękowiec będący laureatem Grammy, Matt Lawrence („Babel” Mumford & Sons), zaś swój mastering zawdzięcza Stuartowi Hawkesowi („Back to Black” Amy Winehouse i „Pure Heroine” Lorde). Również Larry Holcombe doradzał przy produkcji płyty.

Na płycie usłyszeć można elementy muzyki typu pop-crossover, trip-hop, rock, grime, pojawiają się jazzowe cytaty, można też wychwycić niewyraźne echa muzyki drum & bass czy deep house, okazjonalnie basowe „wobble” z krainy dub-step... Ale cóż!... Jarmila Górna znów wymyka się wszelkim próbom łatwej klasyfikacji. To okazja dla wszystkich spragnionych nowych doznań muzycznych.

Homepage: <https://www.jarmilagorna.com/aspaklaria/>

YouTube: <https://www.youtube.com/channel/UCY1O97CS1o8cE718m95nwTA>

Apple Music/iTunes: <https://itunes.apple.com/us/artist/jarmila-xymena-gorna/151647137>

Spotify: <https://open.spotify.com/artist/6cW0hfbQfcGlGZjcVAOgkI>

Facebook: <https://www.facebook.com/jarmilagorna/>

Twitter: <https://twitter.com/GornaXymena>

Karuzela z sympatiami



Londyn, Wielka Brytania.

Krystyna Cywińska

Różne rzeczy się pisze i mówi o nowych przybyszach z kraju. Ale jakoś nikt nie pisze o tym, że zdołali dokonać tego, co nam się przez lata nie udawało. Nam, czyli starej

polskiej emigracji. Choć się bardzo o to starała. Pozyskać tutaj takiego jak ci nowo przybyli uznania jednak nie pozyskała. I docenienia ich wkładu w tutejsze życie codzienne. Nas tu po wojnie ledwo zauważano. Bywało, że lekceważono. Niedoceniano. Przedrzeźniano nasz akcent: *zenk ju wery mucz*.

Wyśmiewano nasze maniery. Te rączki całuję. I tę całą naszą galanterię. Wykpiwano nasz hurratriotyzm i obsesję narodowego męczeństwa. Nie byliśmy tu zbyt popularni. Ci śmieszni Polacy w demobilach, w żółtych butach, z teczkami na zakupy.

A przecież zaraz po wojnie stanęliśmy do odbudowy tego kraju. Z żołnierzy walczących o wolność staliśmy się armią robotniczą. Białymi murzynami do wszystkiego. I kością niezgody w związkach zawodowych. Tych zaklętych rewirach zamkniętych dla obcych, najczęściej dobrze wykwalifikowanych sił. Jak się do związku nie należało, nie można było dostać lepszej pracy. A żeby się do związku dostać, trzeba było dostać tę lepszą pracę. Tak było przez wiele lat królowania związków zawodowych pod berłem królowej.

Powstały więc polskie robotnicze brygady. Srebrna brygada - począwszy od generała w dół - pucowała srebra w hotelach. Przypomnę, że gen. Stanisław Maczek, osławiony dowódca I Dywizji Pancerniej, uwielbiany przez swoich żołnierzy, był barmanem. Gen. Klemens Rudnicki, Generalny Inspektor Sił Zbrojnych, kurierem wycieczek po Europie. Gen. Stanisław Sosabowski, twórca 1 Samodzielnej Brygady Spadochronowej - magazynierem. Niegdysiejsi ministrowie i posłowie do Sejmu II RP pracowali w fabryce biskwitów. Oficerowie z cenzusem stali na straży w muzeach. Byli dozorcami w magazynach i biurach. Kelnerami w restauracjach. Ci niżsi rangą wyrąbywali węgiel w kopalniach i orali twardą glebę. Inni zabrali się za rzemiosło. Hydraulików, szwaczek, pokojówek i kucharek było bez liku. A podziemia kolejki londyńskiej pełne były zamiataczy z dyplomem. Ale jakoś tego nie zauważano, ani nie doceniano, ani z uznaniem nie pisano. Nie mieliśmy dobrej prasy. Raczej negatywną, bo byliśmy politycznie niewygodni. Polska się nie liczyła. Polacy też. A emigracyjni politycy byli tu solą w oku. Z czasem, uporczywie kując, wyrąbaliśmy sobie chodniki akceptacji. Ale było nas już wtedy niewielu. Takie uznanie dla odchodzącego gatunku.

Przyszedł rok 2004. Fala masowej emigracji i Polacy znów stali się białymi

murzynami. Z tą różnicą, że od razu oficjalnie docenianymi, chwalonymi, pożądanymi. Opisywanymi w prasie i pokazywanymi w telewizji. *They blend with the landscape*. Mieszkańcy wioski pod Yorkiem znów mają na śniadanie świeże bułeczki wypieczone przez polskiego piekarza i sprzedawane przez polską *pretty girl*, która nawet z angielskim sobie radzi – jak pokazywano w telewizji. Polska *cleaning lady* o rumianych policzkach – jak pisał „Daily Telegraph” – wpisała się w cywilizację brytyjskich domów. Bo dobrze je sprząta i czyści. Polski osławiony *plumber* ratuje te domy od zalewu. Polski *builder* ratuje je przed ruiną. To byłby dopiero lament i dramat, gdyby ci polscy biali murzyni wrócili do kraju! Żeby się tam przefarbować na adwokatów, architektów, bankowców i wykładowców. No, co by to było!?

Nikt kilka lat temu w takie hipotetyczne gdybania się nie zabawiał. Aż przyszedł niejaki Brexit i zdarł kurtynę hipokryzji. Bo owszem, niech dokręcają te krany, wymiatają kurze i stoją rzędem na taśmie produkcyjnej. Ale przecież zabierają nam miejsca w szpitalach, wydłużają kolejki do GP i biorą zasiłki na dzieci, które zostawili babciom w Polsce. Nas po wojnie odsyłano do kraju. Tę zadrę za polityczną skórą. Nowych przybyszy się kokietowało w politycznie poprawnych czasach. Czy teraz zatrzasną się przed nimi Brexitowe wrota? Aż krany znów zaczną cieknać, domy popadać w ruinę, a mieszkańcy wioski pod Yorkshire zaczną znów jeść odmrażany chleb?

Taką ot snuję ponurą wizję, w którą wolę nie wierzyć. Nie chciałabym się raz jeszcze zawieść w miłości w moim wieku. Tym razem do kraju, który mnie tu jednak przyciągnął.

„Nowy Czas”, Londyn, nr 1/226, 2017.

Powrót Hemara



Marian Hemar, fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe.

Florian Śmieja

Gdyby pokusić się o napisanie historii życia kulturalnego polskiego Londynu na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych ubiegłego wieku, jedną z pierwszorzędných postaci byłby niewątpliwie Marian Hemar. Dziś jest on sylwetką z przeszłości, historią, artystą znanym ze słyszenia wśród najstarszych emigrantów.

Pamiętam go z przedstawień w klubie "Orzeł Biały" na londyńskim Knightsbridge. Kiedy pożar zniszczył ten klub, Hemar kontynuował występy na South Kensington w "Ognisku Polskim". W połączonych salonach stylowej kamienicy na pierwszym piętrze odbywały się teatralne spektakle, literackie spotkania i akademie.

W 1946 roku, jeszcze w mundurze starszego strzelca broni pancernej, pojechałem z obozu w Szkocji na urlop do Londynu. W kinach grano film "The Outlaw" z atrakcyjną Jane Russell. Zobaczywszy głośny western, zwiedziłem British Museum, zobaczyłem kolekcję marmurów i mumii, zajrzałem po raz pierwszy do czytelni biblioteki pod szklaną kopułą. Tam poznałem dr Jerzego Pietrkiewicza, który zaprosił mnie na kawę i przeczytał kilka przekładów poetów angielskich, których antologię przygotowywał.

Wieczorem przedstawiono mnie Marianowi Hemarowi. Ku mojemu zdumieniu, znał i cenił on Wergiliusza, a nawet trzymał na nocnym stoliku jego "Bucolicon", a ja także w onym czasie tłumaczyłem sielanki Rzymianina.

Kiedy po ukończonych w Irlandii studiach znalazłem się ponownie w Londynie, miałem wiele okazji, by oglądać programy Hemara w "Orle Białym" a później w "Ognisku Polskim". Nie doceniałem wówczas właściwie wielkiego wysiłku ludzi teatru, a wśród nich Hemara, którzy w ciężkich czasach krzepili rodaków w ogólnym przygnębieniu i poczuciu klęski. Ich akcje wymagały wielkiego hartu ducha i samozaparć.

Z czasem musiałem Londyn opuścić i przenieśliem się do Nottingham, tam wykładałem literaturę hiszpańską. Następnie popłynąłem do Kanady, gdzie miałem osiąść na stałe. W roku 1991 przeszedłszy na emeryturę, zacząłem latać do Polski. Do dziś tych pedagogicznych wizyt było 16. Starłem się na uniwersytetach polskich pomagać w kształceniu iberystów.

We Wrocławiu pracowałem przez sześć lat w semestrach letnich. Trafiłem do miasta przypadkiem, kiedy po zjeździe pisarzy w Warszawie wybrałem się tam z Tadeuszem Nowakowskim z Wolnej Europy. Mój towarzysz słynął z dowcipu i złośliwych komentarzy. I tak, kiedy jego kolega w pracy, Wiktor Trościanko, wydał tomik wierszy pod tytułem „Przeciwko wiatrom”, ponoć Nowakowski dopisał na ogłoszeniu w Monachium „Do nabycia w każdej aptece”.

W czasie moich zajęć w Instytucie Filologii Romańskiej we Wrocławiu miałem okazję chodzić na doroczne przeglądy piosenki aktorskiej. Poznański Teatr Nowy przywiózł pewnego razu adaptację komedii Mariana Hemara „Piękna Lucynda”. Sztuki tej w Londynie nie oglądałem. Byłem kompletnie urzeczony jej znakomitością. Do sufitu szybowały na trapezach Muzy, pięknie śpiewali i grali aktorzy. Klasą samą dla siebie była Krystyna Feldman, w roli Wawrzonka o niewyparzonym języku.

Kiedy kurtyna opadła, z budki suflera widownia dowiedziała się, że komedia Hemara była oparta na sztuce Józefa Bielawskiego z roku 1765, zamówionej przez króla Stanisława Augusta, wielkiego Księcia Litwy, Kijowa i tak dalej.



Włada Majewska i Marian Hemar w studio Radia Wolna Europa, fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe.

Takim sentymentalnym akcentem poczęstował audytorium rosyjski dyrektor Eugeniusz Korin. To za jego sprawą Hemar przemówił we Wrocławiu wspaniałą teatralną robotą i tekstem oracji wygłoszonej przed laty na premierze londyńskiej, a wydrukowanym ze smakiem w programie wraz z fotografią Napisałem o tym wydarzeniu do Londynu do byłej redaktorki „Wiadomości” Stefanii Kossowskiej, kierującej „Środą Literacką”, comiesięcznym dodatkiem kulturalnym „Dziennika Polskiego”. Szkic przyjęła z entuzjazmem informując w liście:

Archiwum Hemara pieczołowicie zbierała Włada Majewska, bo on sam tego nie pilnował, a jego amerykańsko-duńska żona dawała materiały każdemu, kto chciał albo wyrzucała jeśli Włady nie było w pobliżu. Archiwum jest ogromne: rękopisy, fotografie, nagrania itd. Wszystkie prawa autorskie należą do Włady. Niemal, wszystko, co ukazuje się na emigracji i w Polsce (poza piractwem) jest przez nią opracowane i z nią uzgodnione. Nie wiem, co zrobi z tym archiwum.

W kanadyjskiej Mississaudze dzięki Polsko-Kanadyjskiemu Towarzystwu Muzycznemu i Salonowi Muzyki i Poezji zobaczyliśmy spektakl teatralno-muzyczny „Hemarowe miłości”, teksty i piosenki. Włodarzom PRL dawał się ten literat kiedyś we znaki satyrycznymi komentarzami. Słynny stał się wierszyk komentujący zdjęcie inscenizacji Dejmka:

Potem mówił p. Gomułka

Do zaufanego kółka:

Ten Mickiewicz...wieszcz narodu...

Dużo zrobił nam zawodu

Że on umarł ja nie wiedział

Gdyby żył to jużby siedział

Nie ma wyjścia nie ma rady

Skonfiskować całe „Dziady”

Powrót na polskie estrady i to pod egidą polskiego konsulatu, Mariana Hemara, ten Odys wrócony Itace, uznałby za wielki kaprys losu, niewiarygodny, ale sprawiedliwy i zasłużony. Wróciły jego zabawne skecze i popularne piosenki. Przypomnienie w setną rocznicę urodzin Hemara było pięknym gestem autorki scenariusza i reżyserki programu Marii Nowotarskiej. Bywalcom i nowym wielbicielom talentu Hemara sprawiła wielką przyjemność.

Nie sposób było zaprezentować całą bogatą spuściznę tak płodnego artysty w jeden wieczór. Poznaliśmy więc Hemara jako znanego tekściarza, autora pamiętnych słów do światowych przebojów. Ufamy, że w przyszłości poznamy także jego inne wybitne osiągnięcia.

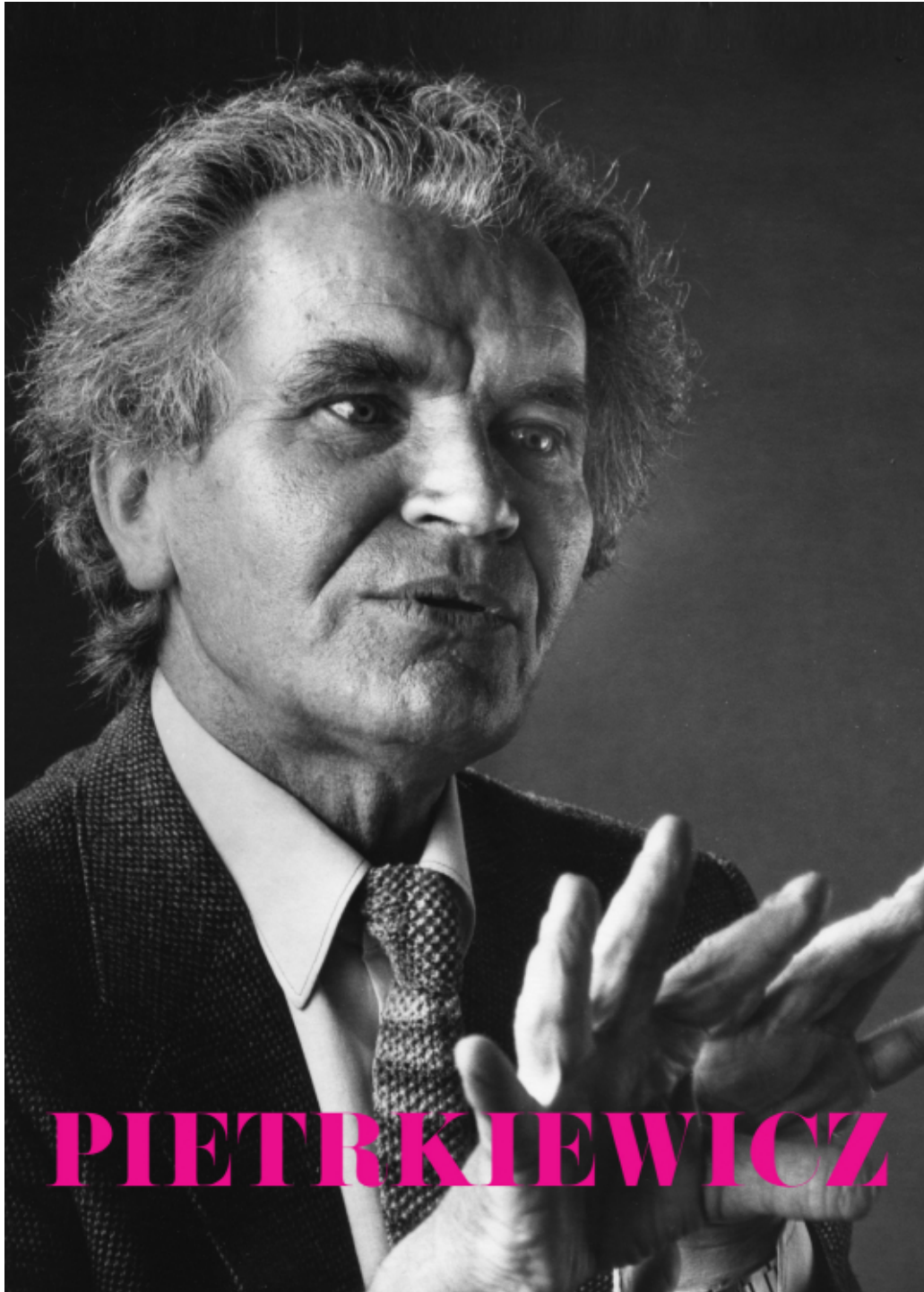
Na temat Salonu Poezji, Muzyki i teatru z Toronto oraz pięknym wieczorze poświęconym Marianowi Hemarowi można przeczytać w książce Joanny Sokołowskiej-Gwizdka „Teatr spełnionych nadziei. Kartki z życia

emigracyjnej sceny”.

Do kupienia m.in. w księgarni internetowej Gandalf:

<http://www.gandalf.com.pl/os/sokolowska-gwizdka-joanna/>

Refleksje z korespondencji z Jerzym Pietrkiewiczem



Jerzy Pietrkiewicz, fot. Archiwum Emigracji.

Florian Śmieja

Jerzego Pietrkiewicza poznałem w czytelni British Museum w Londynie w 1946 roku w czasie urlopu ze szkockiego obozu. Cztery lata później w latach pięćdziesiątych byłem jego asystentem w Szkole Nauk Słowiańskich Uniwersytetu Londyńskiego.

Potem rozeszły się nasze drogi. Ze szczupłej naszej korespondencji zachowało się kilkanaście listów i pocztówek, kilka zaginęło po nadaniu na poczcie w Sandomierzu.

Z nastaniem komputerów komunikacja stała się łatwiejsza, tańsza i szybsza. Ale korespondencja przedtem osobista i prywatna, stała się obojętna, bezbarwna, a właściwie nietrwała i ulotna. Niewiele z niej ocaleje.

Dlatego z nostalgią oglądamy listy z dawnych lat, ze staroświeckiej ery pisania odręcznego. W zapomnianej teczce znalazłem te ocalałe listy i widokówki od Jerzego Pietrkiewicza (1916-2007), poety i pisarza, wykładowcy polonistyki na Uniwersytecie Londyńskim.

Biorę do rąk i czytam najstarsze pismo z 1954 roku. Pietrkiewicz zaczął wtedy pisać serię powieści w języku angielskim. Z listu wynika, że mój korespondent przeczytał artykuł, moją recenzję jego książki i dziękuje mi za *ujęcie rzeczy całej, która pokazuje powieść poprzez poezję i dwa pokłady językowe*. Natomiast do dalszej mojej narracji Pietrkiewicz-kokiet ustosunkował się przewrotnie.

Wspomniał Pan następną powieść (gdyby to zdanie ukazało się kilka tygodni temu, moja przesądna natura przeżyłaby kryzys). Tak, rzecz ta ukaże się na wiosnę, ale – błagam – niech Pan nikomu o tym nie opowiada, bo demony dobrzyńskie zmówią się, pokręcą korektę, zamażą okładkę, zjedzą ewentualne honoraria.

Chciałbym, żeby druk tej powieści był niespodzianką. Będzie niespodzianką i dla Drogiego Pana (niech Pan nigdy nie ufa autorom, kiedy szepczą o swych planach literackich – bo łgają (sic! FS) i zamazują ślady – tak, tak...), Czymże byłoby pisanie bez łgarstwa, prawda? – tylko prawdą, a to nie idzie w parze z fikcją. Przekazuję ten sekret w dobre ręce i niech co rozjaśniłem, zaciemnię. I ani pary z ust...

Jeszcze raz dziękuję za piękny artykuł (pochlebny dla mnie – ale próżność poetycka mile pogłaskana). To, co Pan napisał, najlepiej podsumowało to wszystko, dobrze więc, że wydrukowano właśnie teraz, z opóźnieniem.

Następnie otrzymałem jakieś wycinki z „Wiadomości” Grydzewskiego wraz z oficjalną kartką z papeterii Szkoły Nauk Słowiańskich datowaną 15.X.1964 roku.

Załączam wycinek o Szewczyku (z 1946!) - może Pan go przekazać Szewczykowi, jeżeli Pan zechce. Naturalnie, koniecznie należy o nim pisać. Porządny chłop, zawsze był i będzie. Niech Pan pomyśli, jak się sentymentalizuje Ważyka, który przecież robił nagonki na pisarzy, denuncjował, a teraz niby świętość bez skazy. Szewczyk denuncjatorem nie był. I lepszy poeta. Tak, chciałbym bardzo przeczytać coś Pańskiego o nim. Szukając owej recenzji, natrafiłem na moją odpowiedź w ankiecie z 1948 r.,co jako curiosum Panu daję do teczki. W tych polskich „dark ages” jakąś tam świeczkę nosiłem . P.S. Jeśli Pan zdobył „Wiadomości”, to wycinek Szymona także dla Wilhelma Sz. Jeśli nie - naturalnie dla Pana.

Z mojego zaproszenia w 1966 roku, by Pietrkiewiczowie (oboje byli na naszym ślubie w Londynie w 1954 roku), przyjechali w odwiedziny do Nottingham, do którego się przenieśli, nie skorzystali. Pietrkiewicz tłumaczył, że jego żona, Christine, miała akurat dużo zajęć w BBC.

Odpowiadając na niepamiętaną dzisiaj moją kwerendę kwestionującą jego określenie odpowiedział:

Wie Pan, że jednak „erotic-sonnet”- na tym polega dowcip cytatu viz. Petrarka i damy serca. Ile tam złości i żółci. Nawet idealizujący krytycy przyznają, że „I ten wiersz wraz mi stwardniał(!) bliższe Freudowi niż Beatrice. Pogadamy przy okazji o tym i o „cobble” (realizm szczegółu, zawsze u C.K.Norwida) - tylko niech zacny Florian się pojawi na londyńskim bruku.

Otrzymałem też wtedy nadbitkę artykułu Pietrkiewicza z czasopisma „Eos” na temat tradycji schadzek o świcie. Wśród przykładów polskich, Pietrkiewicz zacytował trzy pieśni anonimowe ze Śląska Cieszyńskiego z dopiskiem „Ślązakowi śląskie anonimy polecam”.

Z upływem czasu zażyłość i przyjaźń nasza rosła. W 1996 pocztówka z Alhambrą zaczynała się

Florku-Florianie, sercu memu miły, jeśli nie miałeś dowodu na synchronicity - to teraz masz. Dzień przed Twoim listem, dotarł też list Miodka (którego cenię i bardzo lubię). Miodek napisał, że chodziliście do tej samej sztuby w Tarnowskich

Górach, no i obdarzył cię, że byłeś moim uczniem. Czy zasługuję na tytuł doradcy-guru? Dość, że jak Ciebie spotkałem w British Museum, od razu wiedziałem, że coś w życiu zrobisz, stąd moje zaufanie do Ciebie, niezmiennie. A Miodek zrobił ze mną chyba najlepszy program dla TV – rozmowę o literaturze. Także osoba budząca szacunek i zaufanie. Arriba Silesia.

Kiedy przeniosłem się do Kanady, Pietrkiewicz odwiedził mnie tam w 1977 roku, dał wykład na moim uniwersytecie i spotkał się z lokalną Polonią w London, Ontario.

Z Ottawy napisał dzięki serdeczne za gościnność i miłą atmosferę na uniwersytecie Twoim, w domu i w Klubie. A przede wszystkim cieszę się, żeśmy pogadali po latach i że zobaczyłem Cię w gronie rodzinnym, z Zosią i dziećmi. Nakarmiony, oprany wróciłem do Montrealu. Dowcipnie dodał: Miło było zobaczyć Twoją gębę i aurę i humor zanim nie pomrzemy.

Napisałem mu raz długi list na temat pozostawania na emigracji lub powrotu do Polski. Jerzy odpowiedział:

Twój list dał mi sporo do myślenia: ten trójkąt europejski w moim życiu. Wracać do ziemi dobrzyńskiej byłoby sztuczną decyzją. Brakuje mi ich kontekstu; sześćdziesiąt lat to dużo. Ale mówią mi i piszą jak z uporem, przez lata, przywracałem sens istotny tej tak odrębnej ziemi. Teraz krajanie moi wiedzą, że to było ważne. Chłopak osiemnastoletni napisał „Ziemia Dobrzyńska, Ziemia Dobrzyńska, a w niej chyba najwięcej ojczyzny”. Pięćsetlecie statui w Skąpem (Maria-dziewczę) stała się okazją na spotkanie z młodzieżą od 7 do 17 lat. Ks. Jan Twardowski był ze mną, kościół tak przepelniony jak nigdy – ponad tysiąc młodych twarzy z mojej ziemi. Wzruszająco ogromnie, najlepszy prezent na 80-lecie, a od planowanych celebracji uciekałem – gdzie- do Alhambry...

I znowu zapraszał mnie do swojego domku andaluzyjskiego, którego fotografie słał z dumą. W styczniu 1998 chwalił się:

przez drzwi widać mimozę – wszystko już kwitnie – i migdałowe drzewa i aloesy, które kochał Słowacki... Jadę 25 km do restauracji przez pola trzciny cukrowej, które ongiś należały do ojca Lorki (jak wiesz, był bogaty, miał samochód i szofera).

...Jako Ci mówiłem, przyjaźniłem się z poetami śląskimi z Szewczykiem na czele. Ale ja już wolę być in statu contemplationis...

W innym liście z tegoż roku kwitował mój

co za ładna i wzruszająca niespodzianka dostać list z życzeniami od Ciebie właśnie tutaj. Po tych latach potwierdzenie tego, co nas łączy ma szczególny sens, coś z istoty życia.

Jak to dobrze, że wszedłeś w Hispanidad wkrótce po Irlandii. Coraz szersze widnokreśli. Gdybyś tego nie zaznał, nie przeżył w sobie, byłbyś może skwaszony i zły na siebie, jak wielu emigrantów (choć to już luźny termin) jest teraz w swoim zachodzie słońca. Załączam kilka stronik ze „Sycyny”, którą redaguje Myśliwski, według mnie naprawdę oryginalny powieściopisarz w Kraju i mądry człowiek.

Pytałem Jerzego o losy jego angielskich publikacji.

Z tłumaczeniami w Polsce nie jest dobrze, bo nie potrafią znaleźć stylu dla takich książek typu „The Third Adam” czy „The Other Side of Silence”. Ktoś próbował „The Other Side” ale uląkł się biedak, choć to, co piszę, nie ma zawijasów czy innych zaciemnień semantycznych. Poczekam – czy doczekam? San Miguel sabe.

W roku 1999 na pocztówce pisał:

Drogi Florianie (ten Twój Święty był niemal spolonizowany już za Piastów) dzięki za pamięć – bo i Ty już w senioracie tych, co doczekali – a doczekanie to prezent od naszego ciała. Jeździsz, fruwasz, pływasz – un caballero viajero – geny śląskie widać mają geologię swoistą.

Dziękuj, kiedy śpiewasz: „Kiedy ranne wstają zorze”. Dziś wstały czerwone jakby buraki pękły na chmurach.

Często donosił z radością o nowych publikacjach i wspólnych znajomych.

Wyszły trzy sztuki Gombrowicza w jednym tomie dla angloyankesów z moim

esejem, który nieźle się czyta po latach.

A nasz Noel Clark (który mile wspomina Twoją pomoc przy wydaniu angielskiej wersji Raclawic) słusznie został odznaczony „zasłużony dla kultury polskiej” w ambasadzie, przyjacioły się zeszyły. Odznaczono także siwiutkiego gołąbka Jasnowskiego, zdumiony byłem, że żyje jeszcze, chyba go pamiętasz z zamierzchłych czasów.

Kartka z fotografią uroczego zakątka andaluzyjskiego ogrodu pochodzi z 2000 roku. :

Drogi Florianie, obłapiam milenijnie i Ciebie i ród Florianowy (a Fabian, jak wiesz, dzielił obowiązki patrona Polski z Florianem, póki nie wysłał w męczeństwo św. Stanisława Bolko nazbyt śmiały)...

Należymy do tej jedynej emigracji wojennej, Ty, Floreczku, jako junak. Reszta to dodatki – płatki, co wylatują z młocki historii.

Moja dobrzyńska więź to nie przedwojenna sprawa, ale stała ciągłość autentyzmu przeżyć i wyobraźni, a dziecko (znasz moje dictum, zawsze żyje wewnątrz nas). Dlatego dzieci z moich stron witają mnie jak rówieśnika – znają moje wiersze na pamięć – te wiersze jak „Siewna”, „Ballady dobrzyńskie”. „Piątry poemat” w pomyśle pochodzą z przełomu lat wojennych. Przedwojenna „Prowincja” była jednym z głównych tekstów Autentyzmu w jego początkach. Szczęśliwy się czuję, że koła czasu tak się ładnie wokół mnie zamykają.

Pod koniec wydarzyła nam się dziwna rzecz. Otóż w 2000 roku na Uniwersytecie im. Mikołaja Kopernika w Toruniu zorganizowano konferencję naukową: „Jerzy Pietrkiewicz - inna wersja emigracji”. Zgłosiłem swój udział, napisałem artykuł „Ten trójkąt europejski w moim życiu” i pojechałem. Pod koniec pojawił się oczekiwany bohater konferencji. Po sesji zaczął podpisywać gotową już książkę materiałów konferencyjnych. Kiedy zbliżyłem się do Jerzego, ten mnie nie poznał. Ogromnie się speszył. Napisał:

...jak gapa zmęczona, nie rozpoznałem ani Twojej twarzy, ani głosu. No ale sporo lat upłynęło od ostatniego w Londynie spotkania. Taka ekskuza, ale słaba. Rzekę

*tedy: Espera, siempre espera, ya pasará la noche oscura de su memoria cansada.
Amen.*

Potem powtórzył:

Cieszę się, że byłeś na konferencji – to wzrusza, to zbliża tyle naszych lat – Boże ty mój, jak te koła życia się kręcą-zamykają i otwierają. Dzieciaki ze szkół Ziemi Dobrzyńskiej witają mnie jakbym był sportowcem z drużyny nieprzegranego czasu.

Ucieszyło go bardzo zamieszczenie rozmowy Bolesława Taborskiego ze mną na temat tej konferencji. *Tak, to niemal symboliczne, że jesteście (ze mną pośrednio) w ostatnim numerze „Kultury”. To także ustawia w czasie.*

Na fotografii ze swojego domu "El nido oculto" pod Granadą objaśniał:

Spójrz na tę fotografię z kołem życia: nosiłem – zwoziłem te białe kamienie (ujście podziemnej rzeki, prosto z gór).

(Na późniejszej fotografii z 2002 r. dodał *Symbol oculto* wedle nazwy domu. *Podczas pełni księżyca koło się kręci.*)

A dom zaprojektowałem razem z architektem tamtejszym, pomysły moje wprowadziłem w życie, ale powoli – tak jak wyszukiwanie mebli, antycznych drobiazgów. Jak się zjawisz kiedyś, zobaczysz...

Cieszyła go duża pokonferencyjna książka z Torunia.

Ciekaw jestem , jak odbierasz błękitną księgę. Pierwsze sześć esejów tworzy ciągłość, zgadzam się, że locum i logos to oryginalna interpretacja tekstów. No i Moczkodan dobry, a Supruniuk zna tyle faktów. Ten, co pisze o nowelach („Umarli nie są bezbronni”) nic nie wie, że były pisane dla Światpolu (agencji dla prasy amerykańskiej) dlatego, że minister emigracyjny nie pozwolił British Council, abym dostał przyznane mi stypendium i musiałem dorabiać nowelami na

zamówienie - taki los mój w pierwszym roku w St Andrews.

W książce jest sporo błędów korekty - będzie errata dla bibliotek. Ale sama rzecz: zbiór esejów i sponsorzy doceniający wagę pracy dla ziemi dobrzyńskiej, dla jej kultury - raduje serce i myśli moje, właśnie w tej fazie mojego życia.

Tak, Drogi Florku, znamy się już od tak dawna: przyjaźń otwiera pamięć, chroni ją i przesuwa w inny wymiar.

Bodaj w ostatnim liście w moim posiadaniu z 5 grudnia 2004 roku Pietrkiewicz powiada:

Dobłą drogę wybrałeś - i akademicką i rodzinną. Nie będziesz miał do siebie pretensji, a to cenne. Książkę o Kontynencikach (sic! FS) przejrzałem i napisałem dłuższy list do autorki. Co z nich zostanie? Jest angielska fraza „the body of work”, to znaczy, że przyszłość odkryje to, co choć słabe, można ocalić. Jak miotła potraktowała Młodą Polskę, albo nieudolny u nas „futuryzm”? The „Body” na śmietnik. Warto podumać nad tym.

To Niemojowski opracował antologię - pokazał mi ją na krótko przed Odejściem. Czaykowski ją popsuł. (Na temat tej antologii pisał Pietrkiewicz także na pocztówce z 2002 r. Sądzę, że były to różne antologie).

Moje zdrowie, jak dwie szale. Ale ziemia dobrzyńska rozumie wagę tego, co zrobiłem. „Sójka” moja dalej fascynuje dzieci. Są już tacy, co znają mój bestseller na pamięć.

Pewnie gdzieś- kiedyś spotkamy się. Pozdrów całą rodzinę, to ich zdrowie daje Tobie energię.

„Carcanet Press” wydała mojego Norwida (Poems-Letters-Drawings), sto stron w ich „Poetry Pleiade” a więc Norwid dla Świata.

Jerzy Pietrkiewicz

Wybitny poeta, prozaik i tłumacz (autor m.in. świetnych przekładów poezji Karola Wojtyły na angielski), ur. 29 września 1916 r. we wsi Fabianki (Ziemia Dobrzyńska) w rodzinie chłopskiej. Ukończył gimnazjum im. Długosza we Włocławku, studiował w Warszawie, był związany z grupą pisarzy ze wsi, tzw. autentystów, skupionych wokół „Okolicy Poetów”, współpracował z tygodnikiem „Prosto z Mostu”, który drukował w sześciu numerach jego poemat *Prowincja, dokument autentyzmu* - 1935.

Po wybuchu wojny przedostał się przez Rumunię i Francję do bombardowanego Londynu. Niezdolny do służby wojskowej, ukończył najstarszy szkocki uniwersytet w St. Andrews; doktorat z anglistyki uzyskał w Londynie (Kings College, 1947), przez wiele lat był profesorem literatury polskiej na Uniwersytecie Londyńskim.

Od roku 1953 jest także autorem angielskim: jako Peterkiewicz napisał osiem powieści (m.in. *The Knotted Cord, Future to Let* - 1958, *Isolation, Inner Circle* - 1966), które spotkały się z bardzo dużym uznaniem krytyki. Opublikował dwie antologie, poezji polskiej i angielskiej, we własnym przekładzie, monografię *The Third Adam*, studium o poetach „u krańców mowy”, *The Other Side of Silence* - 1970, oraz autobiografię *In the Scales of Fate* - 1993.

Dopiero po 1980 r. zaczęły się niektóre książki Peterkiewicza ukazywać w Polsce; przedtem był systematycznie przemilczany. Za to brytyjskie *Who's Who*, sprawdzian życiowego sukcesu, odnotowuje trzydzieści publikacji Jerzego Peterkiewicza.

Zmarł w Londynie w 2007 r.